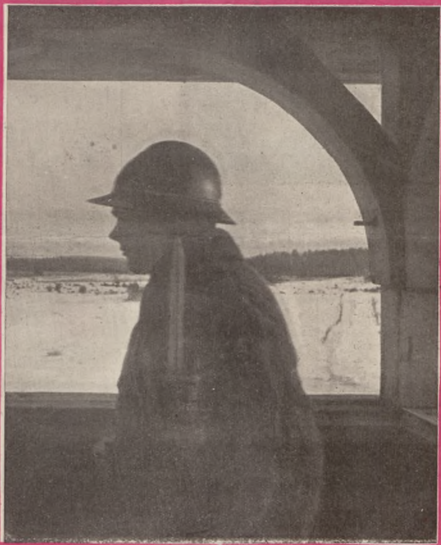
Świat dziewcząt



Nr. 24

50 gr.

SWETER CIEPŁY NA SLIZGAWKĘ I NARTY

Sweter używany do sportów zimowych powinien mieć następujące zalety: piękną, żywą barwę włóczki, prostotę jak największą kroju i dobre zaciśnięcie ściągaczką przy szyi, w pasie i kiściach rąk.

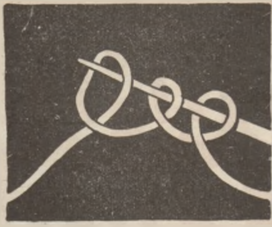
Nr. 1. Sposób nabierania oczek na druty. Ściągaczkę robimy dwa oczka „na prawo", potem dwa oczka „na lewo", na dziesięć centymetrów, wysoko, przy pasie i mankietach, przy szyi 30 cm., wysoko dla wywinięcia.

Podajemy 2 rodzaje ściegów łatwych do zrobienia swetra na ślizgawkę:

Nr. 2. „Ścieg zwykły" robi się w sposób następujący: nabrać potrzebną liczbę oczek (dla osoby szczupłej 110 oczek). Przeprowadzić prawy drut przez oczko na drucie lewym, chwycić nitkę na prawy drut w ten sposób, aby sformowała pętlę na prawym drucie i spuścić oczko z drutu lewego. Przerobić w ten sposób do końca, odwrócić robotę w ten sposób, aby drut lewy był drutem prawym, a drut prawy lewym i przerabiać tak samo od początku.

Nr. 3 „Ścieg gruby" robi się w sposób następujący. Pierwszy rząd: 3 oczka „na prawo" i trzy „na lewo", aż do końca drutu. Drugi rząd: Tak samo, uważając, aby nad oczkami prawemi, były oczka prawe, a nad lewemi, oczka lewe. Ten sam szereg można robić jedno „na prawo", jedno „na lewo", lub dwa „na prawo" i dwa „na lewo".

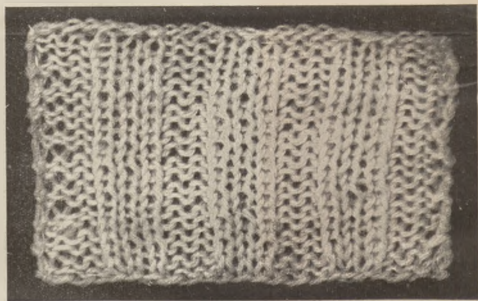
Radzimy bardzo grubą włóczkę, aby sweter był ciepły i dosyć luźną bluzą dla swobody ruchów.



Nr. 1.



Nr. 2.



Nr. 3.



Nr. 1. Sposób nabierania oczek na druty.

Nr. 2. „Ścieg zwykły" (objaśnienie w tekście).

Nr. 3. „Ścieg gruby" (objaśnienie w tekście).

U góry na prawo podany szkic najprostszego kroju swetra na ślizgawkę.

A TERAZ POROZMAWIAMY

Ywonne Gabaud — dostałaś drugą nagrodę na konkursie, ale nie wiemy nic o Twoich upodobaniach, ani o wieku, ani co lubisz czytać. Napisz prędko to wszystko, a wyślemy książkę.

Hanuli K. Bardzo nam się podoba twój projekt urządzania na terenie redakcji „Świata Dziewcząt" zebrań towarzyskich dla czytelniczek. Czy wiesz, że same projektowałyśmy takie zebrania? Nie miałyśmy tak bogatego programu (dyskusje, roboty ręczne, śpiew, a czasami tańce, jak piszesz), ale może „Świat Dziewcząt" zechciałby się wypowiedzieć w tej sprawie? Np. raz na miesiąc „herbatki redakcyjne", na które wstęp ma każda młoda osoba, która przyjdzie z ostatnim numerem pisma w ręku?

Irence Janowskiej. Jak to dobrze, że zdecydowałaś się wreszcie napisać do tych nieznanych „ciotek", jak nas nazywasz! To strasznie miło wiedzieć, że się ma w całej Polsce siostrzenice, które nas lubią i mają do nas zaufanie. Rozumiemy zupełnie Twoje zmartwienie, a nawet chwilową „rozpacz", jak piszesz, z powodu konieczności opuszczenia szkoły. Pewnie, że uczyć się samej jest o wiele trudniej i nudniej, ale na to niema rady, prawda? Dzielna z ciebie dziewczynka, że nie opuszczasz rąk i robisz, co możesz, żeby nie pozostać wtyle za koleżankami szkolnemi. Co się tyczy „Świata Dziewcząt" — prenumerata będzie ci zaliczona od 20 września. Postaramy się w jednym z najbliższych numerów dać wzór jakiej roboty. Ale tyle mamy materjału, i tak mało miejsca!

Jadzi Hickiewiczównie. Twoje uwagi co do listów, pisanych do „Bratnich Dusz" wydają nam się bardzo słuszne! I nas uderza w tych listach jednostajny ton, i dziwi, że za rzecz najważniejszą prawie „duszyczki" uważają powierzchowność, bo najwięcej o niej piszą. A przecież miało to być poszukiwanie *bratnich dusz,* prawda?

Rok I. Warszawa, dnia 10 listopada 1933 r. Nr. 24



TWORZYMY POLSKĘ

Podobno Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną i zato ma wieczną sławę u swego narodu.

Wasze pokolenie zastało Polskę jeszcze gorszą, niż drewnianą, bo rozwaloną, spaloną, wyniszczoną przez wojnę i prócz tego otoczoną wrogami, z którymi musiał się bić nieuzbrojony jak należy, nienauczony jeszcze rzemiosła wojennego żołnierz polski, żołnierz zaimprowizowany z patrjotów jednych duchem, ale jakże różnych siłami fizycznemi i nauką żołnierki!

Minęło lat piętnaście.

Odbudowała się Polska, osuszyły się błota na drogach, które poprzemieniały się w szosy, olbrzymie lokomotywy (nasz wyrób!) ciągną wspaniałe pośpieszne pociągi, światło elektryczne świeci tam, gdzie przed piętnastoma laty i nędznych lampek naftowych nie było. Ciemny analfabeta, wszystko jedno, czy to Polak, czy nasz młodszy brat, Rusin, uczy się czytać i pisać. Nikt nie jest gnębiony, prześladowany, i tropiony za to, że chce mówić ojczystym językiem i modlić się w ojczystej mowie!

A już co to mówić o żołnierzu! Z obdartusa i bohaterskiego naprawdę, ale jakże nieświadomego żołnierki ochotnika, stał się dzielnym, prostym w pojęciach, a mocnym w woli rycerzem Rzeczypospolitej, uzbrojonym nie gorzej, niż przyjaciele i... sąsiedzi. Owiany duchem służby, poświęcenia, zapału.

A sądy, a szkoły, niższe, wyższe, zawodowe i średnie, a lotnictwo, poczta, telegraf — traktaty polityczne i handlowe, Akademja Literatury — nowy kodeks — czyż można wyliczyć wszystkie szaty, w które bosa i obdarta Polska z przed piętnastu lat ubrała się teraz, kiedy zasiada w należnym jej rzędzie wielkich państw świata?!

Któż to sprawił?

Sprawił to genjusz narodu.

Genjusz żywotności Polaków, żywotności bardzo silnej, a już najlepiej uwidoczniającej się w biedzie i niedoli. Polacy są narodem, który się tem od innych odznacza, że wprawdzie często mądry bywa po szkodzie, ale nigdy nie traci nadziei, że tę szkodę da się naprawić. Tak, nadziei Polacy nie tracą nigdy, tylko czasami słabną.

Więc, żeby Genjusz Polski nie osłabł, i nie zasypiał, trzeba mu kogoś, kto w siebie samego ten genjusz wcieli, kto sam stanie się narodem.

Los nam takiego człowieka zesłał.

Na wiele lat przed wojną, która doprowadziła do wskrzeszenia Polski, nietylko wierzył, ale wiedział, że tak się stanie. Tworzył tę nową Polskę, zanim swoi i obcy zrozumieli, że Polska być musi. A kiedy w szeregu innych sztandarów załopotał amarantowo biały sztandar Rzeczypospolitej — uczy, jaką ta Polska być musi. Że musi być silna wewnętrznie i zewnętrznie, jeśli chce wziąć udział w wielkim wyścigu pracy innych narodów.

Prosił i nawoływał, gromił i budził swój naród, żeby nie spał, żeby pracował.

Ale dla dzieci i młodzieży miał zawsze tylko uśmiech przyjaźni i zachęty.

A teraz uśmiechać się może już do wszystkich.

Bo widzi po piętnastu latach, że naród jego zdał egzamin.

Bo te piętnaście lat, które są Jego walką i pracą — są walką i pracą całego narodu.

On, Marszałek Piłsudski po tej piętnastoletniej próbie może wierzyć w swój naród, jak naród wierzy w niego.

Może się cieszyć ,patrząc na wspólne dzieło.

Bo jest się z czego cieszyć — popatrzcie tylko!

Zofja Popławska.

GDYNIA



MIASTO, KTÓREGO NIE BYŁO

U góry na lewo: dźwig w porcie. Na prawo: tam, gdzie przed 15 laty rosły nędzne sosny...



W roku 1918 mała wioska kaszubska, Gdynia, z lękiem patrzyła na jarzące się zdala światła Gdańska. Przerażał ją ogrom tego miasta, olśniewał przepych Zoppot.

Ale minęło lat piętnaście.

Tam, gdzie były torfowiska i rosły nędzne sosny, powstały ulice, place, skwery. Wielkie, portowe miasto Gdynia. W ciągu lat 15 ludność z 301 mieszkańców wzrosła do 36.000. Na miejscu kilkudziesięciu domków rybackich jak grzyby po deszczu wyrosło 48 budynków rządowych, 21 gmachów komunalnych, 2133 domów mieszkalnych.

No, i port.

Port w Gdyni zaczęto budować w roku 1923. Dziś, jeśli chodzi o urządzenia techniczne, jest to jeden z najbardziej nowoczesnych portów w Europie. Olbrzymi aparat sygnalizacyjny, to jest latarnie morskie, dzwony mgłowe i sygnały podwodne, są ostatnim wyrazem techniki.

W samym porcie powstał szereg prywatnych przedsiębiorstw i zakładów przemysłowych, jak łuszczarnia ryżu, olejarnia i druga co do wielkości chłodnia portowa w Europie.

Port Gdyński posiada połączenie okrętowe ze wszystkiemi większemi portami Europy, Ameryki Południowej i Północnej, Afryki, Bliskiego Wschodu i zatoki Meksykańskiej.

Oto w krótkim zarysie obraz tego, czego dokonano w ciągu lat 15 na nadbałtyckich piaskach. Tempo — amerykańskie? to za mało! *Polskie!*

Więc przebaczmy staremu Gdańskowi, który nie może Gdyni dopędzić, że jej zazdrości. Przykro przecież patrzeć, jak rywal potężnieje z roku na rok!

Mówi o tem wyraźnie

Ruch okrętów

	1924	1932
wpłynęło	29	3610
wypłynęło	29	3604

Ruch pasażerski

	1924	1932
przybyło	1190	10878
wyjechało	7567	20947

Krótko mówiąc, polska bandera uzyskała drugie miejsce na Bałtyku, co jest przecież olbrzymim sukcesem dla naszej młodej floty handlowej! Bo przecież zaczęliśmy ją budować dopiero w roku 1927 i prawie zaraz potem zaczęły się dla handlu złe czasy.

Pomimo tych złych czasów powiększyliśmy nasz stan posiadania o 25



Port Gdyński.

U góry: przysięga podchorążych marynarki

U dołu: ładowanie okrętu.





okrętów. I jeszcze trzy mamy w budowie!

Wywozimy na tych okrętach z Polski węgiel i drzewo, cynk i blachę, sole potasowe i nawozy azotowe, ryż wyłuszczony i cukier, ziemniaki i zboże, jaja i masło, bekony i wędliny.

Przywozimy zaś przez port gdyński do Polski rudy, ryż surowy, tytoń, bawełnę, owoce południowe i surowce oleiste.

Tu dodać muszę, że wywozimy o wiele więcej, niż wwozimy. Najlepiej powiedzą nam o tem cyfry, które przecież wcale nie są suche ani nudne, jeżeli ilustrują rzeczy ciekawe!

	1924	1932
Wwóz	981 t.	602.021 t.
Wywóz	9187 t.	4761.400 t.

Z okrętów floty handlowej wyliczyć wypada trzy okręty transatlantyckie: „Polonia", „Kościuszko" i „Pułaski", okręt szkolny „Dar Pomorza" i „Ville de Toulon", pływający pod polską banderą po Morzu Czarnem.

Północny basen portu gdyńskiego zajmuje flota wojenna.

Polska flota wojenna nie jest wielka, ale nasze kontrtorpedowce i łodzie podwodne są najlepsze i największe ze wszystkich na Bałtyku!

W skład polskiej floty wojennej wchodzą:

2 kontrtorpedowce „Wicher" i „Burza".

5 torpedowców „Mazur", „Ślązak", „Kujawiak", „Krakowiak" i „Podhalanin".

3 łodzie podwodne „Ryś", „Wilk" i „Żbik".

2 kanonierki „Komendant Piłsudski" i „Generał Haller".

4 okręty transportowe „Jaskółka", „Mewa", „Czajka" i „Rybitwa". i mniejszy transportowiec „Wilja".

Ale to jeszcze nie wszystko!

Na krążowniku „Bałtyk" szkolą się marynarze i podoficerowie specjaliści, „Generał Sosnkowski" jest okrętem ćwiczebnym minerów i torpedystów, „Pomorzanin" służy do prac pomiarowych, na trójmasztowym szkunerze żaglowym „Iskra" odbywają dalekie podróże przyszli oficerowie marynarki wojennej, a „Dar Pomorza" jest okrętem szkolnym.

Do floty należy jeszcze dywizjon lotnictwa morskiego, stacjonowany w Oksywi. W Oksywi również znajdują się gmachy dla władz marynarki i koszary dla marynarzy.

To już chyba wszystko o tej Gdyni, co to wyrosła nad Bałtykiem, wyczarowana najpotężniejszą różdżką czarodziejską — wolą całego narodu!

Hanna Kalina Muszyńska.

PRZESZŁO CZTERY i PÓŁ MILJONA...

Konstytucja polska gwarantuje naukę wszystkim swoim obywatelom.

Jesteśmy jednak, niestety, państwem na dorobku i wiele najlepszych, najmędrszych planów musimy przeprowadzać stopniowo!

Ale sieć szkół jest coraz gęstsza i coraz trudniej przez jej oka prześlizgnąć się tym, którzy chcieliby przymus szkolny ominąć!

To też obrazek dzieci, bawiących się w rynsztokach na ulicach miast i miasteczek, jest coraz rzadszy, a coraz częstszy stał się obrazek inny: dzieci, śpieszące do szkoły z książkami pod pachą.

To, co Polska zrobiła w ciągu lat piętnastu dla oświaty, uwidoczniłoby się najlepiej przez porównanie z rokiem 1918. Były to jednak czasy gorące — wojna ukraińska, powstanie śląskie, wojna bolszewicka — i dokładnych danych z pierwszych lat odrodzonego szkolnictwa polskiego nie posiadamy. Muszą nam wystarczyć cyfry dzisiejsze!

Według nowej ustawy szkolnej, obowiązującej od września roku bieżącego, podstawą nauczania są szkoły powszechne. Szkół takich mamy 26.539, a uczęszcza do nich 3.943.729 dzieci, pod kierunkiem 74.429 nauczycieli.

Nauka w tej naprawdę powszechnej, bo obowiązującej wszystkich, szkole, trwa 6 lat. Kto chce na szkole powszechnej zakończyć, uczęszcza do klasy siódmej, a kto się chce kształcić dalej — idzie do szkoły ogólnokształcącej, albo zawodowej.

Szkół ogólnokształcących, czyli tak zwanych obecnie gimnazjów, było w roku 1932 (wszystkie nasze cyfry pochodzą z tego roku) aż 743, a uczyło się w nich 204.992 chłopców i dziewcząt.

Nauka w gimnazjum nowego typu trwa 4 lata. Dopełnieniem gimnazjum jest dwuletnie liceum, które daje prawo wstępu do szkół wyższych, albo szkoły specjalnej, to znaczy rolniczej, ogrodniczej, szkoły kadetów, seminarjum nauczycielskiego albo ochroniarskiego i t. d.

Szkół zawodowych (i specjalnych) było w Polsce około 1000, a kształciło się w nich 118.115 dziewcząt i chłopców na nauczycieli i nauczycielki, na ochroniarki, rolników, pielęgniarki, ogrodników, na wykwalifikowanych rzemieślników — jednem słowem na ludzi, którzy wejdą w życie z fachem w ręce.

Taka organizacja szkolnictwa daje każdemu możność posiąść wykształcenie elementarne, a potem dokształcić się zależnie od zdolności, zamiłowań czy środków pieniężnych.

Zanim przejdziemy do szkół wyższych, zejdźmy na sam dół drabiny szkolnej, do przedszkoli. Jest ich w Polsce 2398, a powinno być o wiele, wiele więcej! Przedszkola przecież zbierają cały ów drobiazg ludzki, który tak bardzo potrzebuje opieki, a jest jej pozbawiony w rodzinach, w których matki muszą pracować zarobkowo. W roku ubiegłym 101.673 maleństw znalazło w przedszkolach opiekę, pomoc lekarską i ciepłą strawę, która nieraz stanowiła jedyne ich pożywienie!

A teraz znowu na samą górę drabiny, do szkół wyższych.

Jest ich w Polsce 22, z tych 13 prywatnych.







U góry: gmach ministerjum oświaty.
Na lewo u dołu: tak było...
Na prawo: tak jest...

Do szkół tych zaliczamy:
6 uniwersytetów
2 politechniki.
4 wyższe szkoły handlowe (jedna dla handlu zagr.),
2 szkoły (akademje) Sztuk pięknych,
1 akademja górnicza,
1 akademja weterynaryjna,
1 wyższa szkoła rolnicza,
1 państwowy Inst. dentystyczny,
1 szkoła nauk politycznych,
1 szkoła dziennikarska,
1 Wolna Wszechnica w Warszawie i Oddział jej w Łodzi.

Z tych szkół wyższych niektóre, jak Uniwersytet Jagielloński w Krakowie i Jana Kazimierza we Lwowie, są bardzo stare, przetrwały lata niewoli i zapisały się chlubnie w historji kultury polskiej. Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, również stary i zasłużony, został po wskrzeszeniu Polski na nowo powołany do życia. Uniwersytety Poznański i Lubelski (prywatny) zostały założone już po odzyskaniu niepodległości.

Do szkół wyższych uczęszczało w r. 1932 na wszystkie wydziały 48.155 słuchaczek i słuchaczy. Zaznaczyć tu musimy, że tylko Akademja Górnicza w Krakowie nie przyjmuje kobiet.

Oprócz tych szkół dla młodzieży istnieje na ziemiach polskich 70 szkół dle upośledzonych, gdzie pobierają nauki dzieci niedorozwinięte, ślepe, głuchonieme.

Razem z temi upośledzonemi i z dziećmi, uczącemi się w szkołach ćwiczeń przy seminarjach nauczycielskich, ilość uczącej się młodzieży zaokrąglić można do 4 i pół miljona.

Większość naszych czytelniczek, to granatowe mundurki, stojące na środkowych szczeblach drabiny szkolnej. Wdół — na przedszkolaków i powszechniaków patrzą już z politowaniem. A w górę? Pewnie z zazdrością, a może z zastanowieniem, na którym szczeblu tej doskonale skonstruowanej drabiny najlepiej się zatrzymać?...

Niekoniecznie przecież musi to być szczebel ostatni — dyplom uniwersytecki.

Ale koniecznie winien to być szczebel końcowy tej czy innej części drabiny.

Ewa Zychówna.

ZOFJA KUNICKA

WESELE KASI

NOWELA

Kiedy pada słońce poranne, widać wieżę kościoła w Hucie. Wieżę — to znaczy szary klin, wbity w obłoki. Ale raptem rozpala się tam błysk jasnego ognia leci, przeszywa dal, jak ostrze anielskiego miecza i na niebieskim obwodzie ziemi nie znajdziesz nic bardziej świecącego, nic świetniejszego, nic, coby więcej przykuło oczy, niż ten płonący krzyż.

Gdy słońce podniesie się trochę wyżej, blask zagaśnie i tylko wieża wciąż sterczy, raz wyraźna, raz bledsza za mgłami.

Kasia przysłania wzrok ręką, żeby lepiej widzieć: — Chciałabym tam pójść — powiada nawpół do siebie.

Dwie baby uśmiechają się z ponad grzędy: to bratowa Józka i „ciotka" Rózia. Kopią czarną, wilgotną ziemię, wysypują rządki, sadzą rozsadę kapusty i buraków.

— A no wyjdź za Florka, to cię zawiezie do Huty — mówi Józka przekornie.

Kasia chmurzy się i wraca do roboty; niebieskie, kruche liście rozsady chrupią w jej palcach.

— Jeszczem za młoda.

Józka się obraziła; modre oczy błyskają gniewem, czepek się przesunął na ucho: — za młoda?! a ja?! mam dwadzieścia pięć lat, a już osiem, jakem zamąż poszła. Co ty lepszego ode mnie? Bez tę szkołę to ci się w głowie ze wszystkiem wywróciło.

— Teraz inne czasy, — spokojnie odrzekła Kasia: — mnie nie spieszno.

— Nie śpieszno, aż będzie za późno — dogryza Józka. — Mało to śpiewałaś, czytałaś, spacerowałaś z książkami w torbie? Na wszystko jest swoja pora.

Rózia ma lat trzydzieści: to już stara dziewka. Opiera się dużemi, spracowanemi rękami na trzonku szpadla, lekko pochylona na tę swoją krzywą nogę. Nikt jej nie chciał dla tej krzywej nogi, chociaż nie leni się przy żadnej robocie. Jest wielka, mocna, skóra rumianej twarzy błyszczy miejscami,

jak lusterko. Niby to niechcący, nie patrząc na nikogo, podśpiewuje półgłosem:

O święta Anno! przyczyń się za mną.
Żebym już dłużej nie chodziła panną!
O święty Janie! niech się tak stanie
Ażebym już nie była w panieńskim stanie.
O święta Orszo! czyż ja najgorszą?
Niech przyjdzie choć o jednem oku,
Byle tego roku!
Choćby pił, choćby bił, byle był!

Józka śmieje się na całe gardło: — To ci wymyślili na was, panny!

Kasia czerwieni się z gniewu i udaje, że nie słyszy, cała zajęta swoim rządkiem.

Niskie ranne słońce idzie pomiędzy olchami, olchy pachną zielno i wilgotno, jakgdyby gaj to był samych kwiatów. Odezwał się słowik i umilkł: gardło go boli od całonocnego śpiewania. Srebrzysta kasza rosy okrywa murawę, na niej ciemne ścieżyny śladów. Czarna ziemia kraje się szpadlem, jak świeży chleb, chrząszczą soczyste liście rozsady.

Kasia odwraca się myślą od głupich bab i duma o kościele w Łucie; jaki musi być ogromny, jakie echo w wysokich ścianach, święte figury, ołtarze pełne obrazów, złota i świętości. Tam, gdy zatętnią organy, zaśpiewać na chórze szeroko, szeroko, pełną piersią.....

Nie była nigdy o dwadzieścia kilometrów, a chcą, żeby zamąż szła! Ma szesnaście lat, w zeszłym roku skończyła siódmy oddział.

W szkole były wielkie klasy, kolorowe tablice, plac do gier. Kasia była pierwsza we wszystkiem, w śpiewie, w historji, w geografji. — Masz piękny głos, Kasiu, — powtarzała pani, — jesteś zdolna, wszystko przed tobą leży, ucz się dalej, ucz się na śpiewaczkę.

Brat Jakób, najstarszy w rodzinie, nie wraca z Ameryki. Trzeba donajmować do orania, do żniwa, do siana. Pieniędzy niema. Dlatego potrzebny „im" mąż. — „Choćby pił, choćby bił, byle był" — powtarza z goryczą Kasia i zaciska pięści: — nie chcę!

Podnosi głowę: z pośród woniejącej mgły, z pośród dalekich, nieznanych lasów dźwiga się palec wieży, niby palec człowieka, który chce coś przypomnieć: pamiętaj, ja — to świat.

Zapyloną drogą idzie bydło na rosę, fujarki grają w rękach małych chłopaków, kurz świeci w słońcu, potem opada i znowu robi się przezroczyste szkło powietrza.

Cicho dokoła, to prawda, miejsca zadosyć i głosy się w niem rozpływają; to granie, mruki bydła, ćwierki ptactwa. Ale trzeba się wsłuchać: wszędzie wre cichutkie, gorące życie, gotuje się i przelewa, rzekłbyś — kipiąca woda w garnku, gdy podnieść pokrywę. Źdźbła trawy mkną w górę, kłosy wiążą różowy kwiat, nad żółtą ognichą brzęczy chmura pszczół. W pustce zielonych pól, zielonych łąk mrowią się ludzie, choć ich nawet nie słychać, czy mówią ze sobą, czy śpiewają, czy milczą.

Oto idzie Łucka Zębarówna z płachtą trawy dla koni. Zgięta pod mokrym ciężarem odmawia różaniec, jej nogi tętnią po moście, czerwona chustka niknie za rogatym tłumokiem i wydaje się, że sam ten tłumok odchodzi drogą, kiwając się na dwóch słońcem spalonych nogach.

Koło brzozowego barłaka Hrabina z młodziutką swoją niewiastką Naścią piele pszenicę, a tam znowu Staszkowe dziewczęta, co ich ledwie widać, wszystkie cztery coś dłubią przy miedzy. Hrabina jest babą z wioski, lecz dlaczego ją tak nazywają, nikt już nie pyta.

Teraz od strony mogiłek wlecze się ścieżką głupia Marysia: spuchnięte łydy owinęła szmatami, kaftan ma obszarpany, ale uśmiecha się i nawet podśpiewuje. Na ramieniu trzyma węzełek z darowizną: — Buraki sadzicie? Ładne buraki, Boże, dopomagaj. U księdza takie same wyrosły. Ładną macie chustkę. Dajcie mnie, moja się het! poderła.

Baby się śmieją: — damy, damy, Marysiu, tylko nam trochę w robocie pomóż!



Marysia smutnieje: — pomogłabym, ale me nogi bolą. Pora mi iść. Dajcie chleba, albo ogórków. — Zawija kawałek chleba i odchodzi śpieszno i znowu mruczy pod nosem dziadowską piosenkę. Konie rżą na pastwisku, siwa klacz do płowego łoszęcia, które biega, biega wielkiemi kręgami, brzuchem dotyka ziemi, przewraca się, porywa i staje przy matce zadyszane, wylękłe i ucieszne. Stary chłop je pasie pod krzakiem łozy, a ktoś drugi z nim rozmawia. Kto to taki? Józef Bocian.

Przybliża się do robotnic, przystaje, paląc lulkę:

— Hej tam, prędzej, niechno mi rozsada powiędnie, dam ja wam, baby! — Krzyczy żartobliwie, niby na dworską czeladź, bo długie lata był karbowym i nie zapomniał rozkazywać. Józka z Rózią szczerzą zęby; — a wy nam, wujaszku, chodźcie podlewać, to wam damy pieroga na śniadanie.

— Udław się swoim pierogiem — odpowiada Bocian i zaraz do Kasi: — Dom ci zagadkę, a jak zgadniesz, złota wóz. — No, jaką? — pyta Kasia z ciekawością. — Ile na niebie zorków, tyle na ziemi dziurków. A co? nie wiesz? — Sito! — woła Rózia. — Sito! ty sama sito! — Józka pęka ze śmiechu — oj, bodaj was, wujaszku! — Na com ja ciebie tyle roków w szkole trzymał — burczy na Kasię. — Czekaj, dom drugą: siwe gołębie popod polem latają — lemiesze! lemiesze! dawajcie złota wóz! Bocian pokazuje figę: dom, dom, jak słomy we żniwa omłócę. — I odmaszerowuje, dudniąc twardemi piętami po ścieżce, a kobiety długo prawie płaczą z uciechy.

Nagle: — tss, tss — szepcze Józka i aż oczy jej się palą — patrzaj, Kaśka twój kawaler chodzi za rzeczką.

Florek idzie sobie po tamtej stronie olch, ubrany, jakby to była niedziela, w butach nowych i świecących brodzi po trawie, po rosie.

— Ciebie tak wygląda — wzdycha Rózia.

— Idź, Kaśka, idź — nagli Józka i poprawia chusteczkę, zapina pod szyją kaftanik, a z pewnością żałuje, że nie zdążyła włożyć tego lepszego, co leży pod krzakiem: kładzie go, kiedy idzie przez wioskę.

Kasia znowu chyli się czerwona. — Sama idź — odburkuje bratowej.

— Ach, ta Józka nad życie lubi chłopców, chociaż ma męża (w Ameryce! — kiwa głową żałośnie) i dwoje synów. Coby dała, żeby znowu być dziewczyną w chacie o malowanych oknach, ubrać się i tańczyć i przebierać między chłopakami, jak w ulęgałkach. Kaśka jest głupia.

— Głupia! — myśli to samo Rózia, a o sobie: — cóżem ja zawiniła z tą nogą? mała byłam, jak me świnia ugryzła i skończyło się z prostem chodzeniem. Czy przysyłał kto do mnie z wódką? Czy kupował cukierki pod kościołem? Pochowają mnie, a nie będę gospodynią.

I świat się robi mniej ciepły i jasny, jakgdyby słońce uszło za chmurę.

Florek podchodzi blisko, dzieli go tylko struga wody, pluszczącej po czerwonych korzeniach, po zielonych miętach.

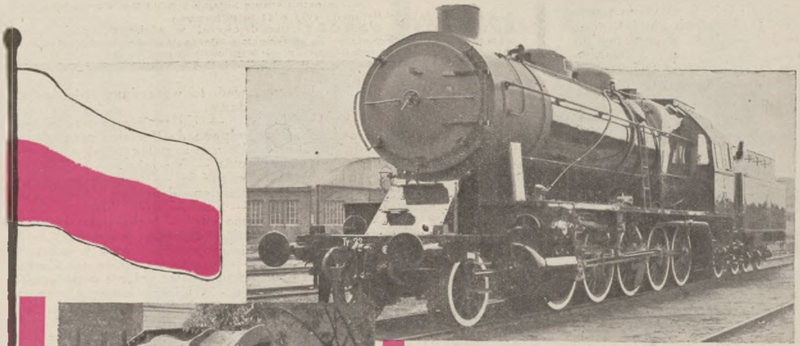
Uchyla grzecznie czapki: — dzień dobry — powiada nieśmiało i rumieniąc się: — ja mam tu do Kasi parę słów powiedzieć od chrzestnej, od Białeckiej.

— Baj-że, baju — mruczy Rózia. — Idź, gawronie jeden — złości się po cichu Józka, i popycha ociągającą się dziewczynę. — Nie chcę.

— Tak nie uchodzi z kawalerem, rozumiesz ty? Na językach cię obniosą, że żadnej przyzwoitości w tobie niema!

(D. c. n.).

JAK I PO CZEM JEŹDZIMY W POLSCE?...





U góry: parowóz osobowy.
Na lewo: tak jeździliśmy po szosach.
U dołu: parowóz osobowy.

Kto jeździł koleją przed piętnastoma laty, a jeszcze bardziej ten, kto chciał przed piętnastoma laty wysłać koleją towar, ten pewnie pamięta, jak niedołężne jeszcze było polskie kolejnictwo.

Mocarstwa okupacyjne, opuszczając nasze ziemie, pozostawiły 2313 lokomotyw, 2875 wagonów osobowych i 41.448 wagonów towarowych. Ten wielki na oko tabor był jednak niewystarczający dla młodego państwa polskiego. A że w dodatku był zniszczony — możecie sobie wyobrazić, z jakiemi trudnościami walczyć musiały koleje polskie, chcąc obsłużyć wszystkich swoich obywateli! Na to, żeby móc pojechać, trzeba było na kilka godzin przed odejściem pociągu stać w „ogonku" przed kasą biletową, ażeby dostać wagon towarowy...

Ta ciężka sytuacja polepszyła się trochę w roku 1919. Otrzymaliśmy wtedy na zasadzie Traktatu Wersalskiego dalsze 2741 lokomotyw, 7078 wagonów osobowych i 58.499 towarowych. Ale i to wszystko było o wiele za mało.

Dziś, po latach piętnastu, mamy tabor wystarczający na potrzeby nasze i na potrzeby tranzytu. Liczy ten tabor: 5343 lokomotywy, 11.669 wagonów osobowych, 134.375 wagonów towarowych.

Większość tych wagonów i lokomotyw wyszła z naszych pięciu fabryk, które dostarczają ponadto taboru kolejowego.

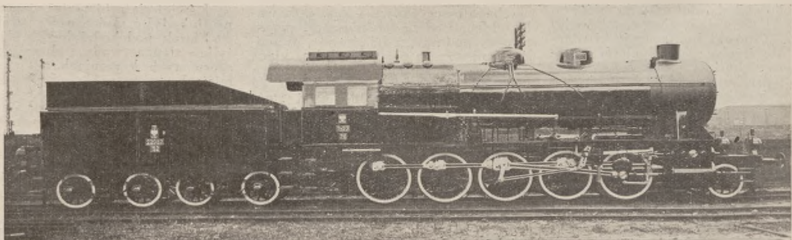
Dzięki temu doskonałemu zagospodarowaniu się nietylko nie stoimy już w ogonkach przed kasami, ale podróżujemy wygodnie pociągami zwykłemi, pośpiesznemi, albo wycieczkowemi, które są szczególnie tanie i pozwalają na zwiedzanie całej Polski.

Podróżujemy też prędzej o całe 20 proc.! Na niektórych linjach szybkość pociągów dochodzi do 100 klm. na godzinę.

Szybciej też i sprawniej przewozimy towary.

Ale nietylko wzrósł nasz tabor kolejowy: wzrosła również długość dróg kolejowych. Z 16.234 na 17.794 km. Na te półtora tysiąca kilometrów składają się drobne odcinki po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów, znakomicie skracające drogę i dające setki tysięcy oszczędności.

A wzdłuż tych dróg kolejowych, na miejsce spalonych przez Rosjan, a byle





szcza teraz, przy rozwoju ruchu samochodowego.

Ale drogi były zawsze słabą stroną Polski! Już przecież Napoleon powiedział, że w Polsce poznał czwarty żywioł: błoto... Błoto, kałuże, wyboje, albo piach po kostki — oto wierny obraz wielu, wielu naszych dróg.

Stopniowo jednak i w tej dziedzinie następuje zmiana na lepsze. Pomimo ciężkich czasów musieliśmy tyle rzeczy budować i przebudowywać po odzyskaniu niepodległości.— Długość szos w Polsce znacznie wzrosła i ciągle jeszcze wzrasta.

jak przez okupantów odbudowanych stacyj, stoją nowe, ładne budynki stacyjne. Przeważnie w tak zwanym polskim stylu, białe z czerwonemi dachami.

Najbardziej upośledzona pod względem budynków stacyjnych jest Warszawa. Wciąż jeszcze wyjeżdżamy z dworców prowizorycznych i na dworce prowizoryczne przyjeżdżamy . Ale za lat kilka będzie miała i stolica wspaniały dworzec centralny. Tymczasem cieszy się z linji średnicowej i tunelu. No, i z zapowiedzi zelektryfikowania węzła warszawskiego!

Rozbudowa kolejnictwa i przystosowanie go do potrzeb państwa polskiego (zaborcy wszystkie koleje budowali zawsze z myślą o potrzebach swego państwa) ma olbrzymie znaczenie dla bezpieczeństwa kraju. Od sprawności kolei przecież zależy powodzenie działań i planów wojennych, a o wojnie musi zawsze pamiętać ten, kto chce pokoju.

Sprawność kolei znowu zależy od sprawności personelu kolejowego. Rozumieją to nasi dzielni kolejarze i w roku 1928 założyli specjalną organizację: Przysposobienie Wojskowe Kolejarzy. Przysposobienie to liczy dzisiaj 70.000 członków i jest mocnem ogniwem w łańcuchu organizacyj, które postawiły sobie za cel *obronę państwa*.

Drogi mają dla kraju znaczenie prawie takie samo jak i koleje. Zwłaszcza teraz, przy rozwoju ruchu samochodowego.

Komunikacja po tych nowozbudowanych albo naprawionych drogach odbywa się teraz nie ohydnemi budami, jakie widzimy na fotografji, ale wygodnemi autobusami. Buda, zapewniam was, jest autentyczna i jeszcze przed kilku laty ludzie tłukli się nią albo zupełnie podobną do niej, po kilka i kilkanaście godzin!

Dzisiaj mamy regularną komunikację autobusową między wszystkiemi prawie miastami w Polsce. Mamy też autobusy własnego wyrobu: piękne, wygodne, szybkie.

Też jak na fotografji.

E. Z.

DZIŚ I WCZORAJ

Ulice Warszawy to wydeptane drogi tysięcy ludzi; widoki Warszawy to obrazy, o które nasze oczy zaczepiają codziennie, oczy zapatrzone w troski i radości powszedniego dnia, oczy zmęczone pracą, przysłonięte mgłą wzruszenia, zalane łzami...

I dlatego, że takie właśnie oczy mamy dla obrazów codziennie widzianych, przechodzimy obok nich — nie spostrzegając. 15 lat w życiu miasta to tak wiele! Zmieniło się ono w ciągu tego czasu, rozrosło, zabłysło neonami, zazieleniło parkami, a my, stali jego mieszkańcy, nie wiemy o tem nic. Czasami, zupełnie przypadkowo rzuci się nam w oczy, że oto w tem miejscu, gdzie był brudny, żydowski kramik, świeci teraz jasnemi wystawami porządny, duży sklep, że na miejscu wykrzywionej rudery — powstaje piękny, wysoki, reprezentacyjny dom. Tak, czasem to spostrzegamy, ale rzadko zastanowimy się nad pracą tych bogatych w trud i wysiłek lat 15-tu.

Potykamy się na „kocich łbach" i suniemy gładko po wyasfaltowanej jezdni; usiłujemy wieczorem dojrzeć coś na tablicy starego przystanku tramwajowego i czytamy swobodnie na oświetlonym wewnątrz, estetycznym słupie, trzęsiemy się typową warszawską „jednokonką" i mkniemy szybko taksówką, albo wygodnym autobusem.

Możnaby bez końca wyliczać szeregi zmian, które zaszły w ciągu 15 lat Niepodległości, a których nie spostrzegaliśmy, bo działy się nam przed oczami ciągle, potrochu...











U góry: rudera na przedmieściu.

Na prawo: nowoczesny gmach.

U dołu: Warszawa w nocy.

Dopiero, gdy pewnego dnia rzucimy okiem na cyfry, zorjentujemy się nagle, że:

w roku 1918 Warszawa zajmowała 11,483 ha,

w roku 1933 zajmuje 11.807 ha,

w ciągu 15 lat przybyło miastu 83 ha ogrodów i zieleńców, a ilość drzew wzrosła z 13.354 na 24.446;

że w ciągu 15 lat przybyło Warszawie 413.400 mieszkańców. a śmiertelność zmniejszyła się o 12.297 osób.

Gdy zorjentujemy się w tych cyfrach, gdy zrozumiemy ich wielkość, innem okiem spojrzymy na naszą stolicę. Przejdźmy się po mieście i patrzmy!

Zaczniemy od daleka, od Żoliborza, gdzie w roku 1918 było — nic. Doły, kamienie, błoto. Dziś Żoliborz zabudowuje się w szalonem tempie, jest już „czemś", jest dzielnicą wielkiej Warszawy, ma swój tramwaj i robi, co może, żeby być całkowicie zabrukowanym. Jeżeli wziąć pod uwagę, że od roku 1918 powierzchnia zabrukowanych ulic wzrosła z 264 ha na 334 ha, a powierzchnia chodników skoczyła ze 150 na 262 ha — można wierzyć, że to niedługo nastąpi.

Ale jedźmy dalej, tramwajem wprost z Żoliborza można dojechać do śródmieścia, nawet nieco dalej, do placu Narutowicza, którego w 1918 roku też wcale jeszcze nie było, i na kolonje Lubeckiego, która... wyrosła, jak grzyb po deszczu w ciągu tych 15 lat.

I to jak wyrosła. Śródmieście, zapchane staremi domami, nie ma pojęcia o tym rozmachu architektonicznym, który opanował peryferje. Od przemiłych dworków na ulicy Suchej (także ulica jeszcze bez tradycji!) do imponujących gmachów, tworzących ulicę Filtrową, czy plac Narutowicza, wszędzie widać piętno nowej architektury, łączącej wygodę z estetyką. To samo widać na kolonji Grottgera, na Henrykowie, wszędzie, gdzie Wielka Warszawa szukała ujścia dla swego rozmachu życiowego.

A śródmieście? Śródmieście też nie pozostało wtyle. Nie może przebudować swoich wszystkich domów, ale co buduje, to już buduje pięknie: Ministerstwo Oświaty, Ministerstwo Komunikacji, Zakładu Ubezpieczeń, P. K. O., Gimnazjum Batorego, kilka pięknych gmachów szkół powszechnych, Bank Gospodarstwa Krajowego i tyle innych, które migają przed oczami, ilekroć jedziemy autobusem, tramwajem, czy dorożką. Ach, widzimy je zawsze, w dzień czy w nocy, tak, właśnie w nocy, wołają, proszą o naszą uwagę tysiącem lamp kolorowych, reklam, neonów, oświetlonych szyldów.

15 lat temu Warszawa w nocy była smutna. Ciemność jej rozdzierały tylko latarnie gazowe i nieliczne elektryczne. Sznur wielkich świateł, idących środkiem Alei Jerozolimskich, wyglądał jak naszyjnik, z którego pogubiono perły: paliła się co druga, co trzecia latarnia i było ciemno i smutno.

Dziś Warszawa w nocy świeci, żyje, rozbrzmiewa gwarem kawiarni, muzyką głośników radjowych, krzykiem aut. Warszawa w dzień natomiast ma jedną najważniejszą melodję: rytm pracy, która ciągle tworzy nowe rzeczy, która upiększa, zabudowuje i oczyszcza miasto.

Z. M.





GASTON CH. RICHARD

CZAR SKRZYDEŁ

TŁUM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy)

Tego dnia Piotr na „Kormoranie V" zabrał księcia Kawamachi na powietrzną przejażdżkę, ażeby pokazać mu zwinność i poręczność aparatu. Pragnąc wylądować, Piotr zatrzymał motor i olbrzymi samolot już znajdował się nad ziemią, ażeby na niej spocząć, gdy na nieszczęście, prawe koło zaczepiło o jakiś żelazny drąg, tkwiący głęboko w ziemi, o którym dotychczas nic nie wiedziano.

Uderzenie było tak silne, że koło się oberwało; samolot, trzęsąc się na jednem kole przechylił się i dotknąwszy skrzydłem ziemi, wywrócił koziołka...

Ze wszystkich stron śpieszono na pomoc.

Książę, aczkolwiek kontuzjowany, wyszedł z wypadku cało, ale Piotr, rzucony całą siłą na jedną z metalowych części kadłuba, miał lewe ramię zranione i złamany obojczyk.

Kiedy publiczność dowiedziała się, że ten, którego wszyscy uważali za jednego z przyszłych zwycięzców — a kto wie, czy nie głównego zwycięzcę — będzie co najmniej na 6 tygodni unieruchomiony w pokoju z ręką w gipsie — zapanowała wielka konsternacja.

Inne obrażenia — rany głowy i ramienia, oraz silna kontuzja, byłyby zapewne wyleczone w przeciągu 2 tygodni. Ale w każdym razie z udziału w zawodach Piotr musiał zrezygnować.

Ból i rozczarowanie, jakich doznał Piotr, były tak silne, a wstrząs nerwowy tak głęboki, że doktór Sabattier, wezwany do chorego, zabronił komukolwiek wchodzić do jego pokoju w przeciągu 48 godzin.

*

Kiedy, po 2 dniach, Janka mogła już wejść do niego, była wprost przestraszona zmianą, jaka zaszła w jego wyglądzie, przeraźliwie smutnym wyrazem oczu i przygnębieniem, z którego nie próbował nawet się otrząsnąć.

Klemens Durand-Gardel, towarzyszący Jance, starał się napróżno wpłynąć na poprawienie nastroju nieszczęśliwego młodzieńca. Ale ojciec nie wiedział nic o układzie zawartym między jego synem, Fernandem i Janką. Szczęśliwy, że jego Piotr, ostatecznie wyszedł bez wielkiego szwanku z katastrofy, którą mógł przypłacić życiem, gotów był raczej brać wszystko z najlepszej strony.

— Nie rozpaczaj tak — rzekł. — Napewno nikt cię nie posądzi o to, że zbrakło ci odwagi, możesz mi wierzyć. Leży u nas cała góra listów i depesz, w których ludzie dają ci dowody życzliwości i starają się dodać ci otuchy. Zgłosimy dwa aparaty, zamiast trzech i wszystko będzie w porządku. Oczywiście, że bez ciebie nasze szanse zmniejszają się o pięćdziesiąt procent... Ale to właśnie, mój synku, jest owem zaszczytnem ryzykiem sportu, cieszmy się więc, że nie spotkało nas większe nieszczęście. Uspokój się, przyjdź jak najprędzej do zdrowia i... niech się dzieje wola Boża!

— Niech pan posłucha, co mówi ojciec — rzekła łagodnie Janka.

Westchnął z rezygnacją, spojrzał na nią smutnym wzrokiem i nie odpowiedział.

— Musimy pozwolić naszemu rannemu wypocząć, panie Durand Gardel, wtrąciła wówczas pielęgniarka. Ma przecież trochę gorączki. Lekarz zgodził się na dziesięć minut rozmowy, a już minęło dwadzieścia, odkąd pan tu przebywa.

— Istotnie... pani ma słuszność! potwierdził inżynier. ...Do jutra zatem, Piotrusiu... Matka, którą wieść o twoim wypadku ponrosta z nóg zwaliła, pozostaje również w łóżku, pod opieką Magdaleny, mam jednak nadzieję, że już dziś po południu będzie mogła cię odwiedzić.

Dotknął wargami czoła swego syna. Janka uczyniła to samo.

— Odwagi, Piotrze. — rzekła cichutko.

Znów objął ją wzrokiem i wyszeptał:

— Żegnaj! Janko moja!

Taki smutek, taki głęboki ból mieściły się w tych prostych słowach, iż łzy nabiegły do oczu Janki. Opanowała się jednak i głosem łagodnym, żartobliwym prawie, odparła:

— Do jutra, Piotrze. Proszę być rozsądnym i pozwól się pielęgnować, aby odzyskać jak najprędzej zdrowie i urodę!

W samochodzie, którym wracali oboje, Klemens Durand-Gardel popadł w milczącą zadumę. Głęboka zmarszczka żłobiła jego poważne czoło, a rysy twarzy wyrażały smutek, troskę i obawy. Wobec syna nałożył maskę obojętności i pogody, ale zdala od Piotra, u boku Janki, nie ukrywał swego niepokoju i strapienia.

— Czy pan nie znalazł nikogo dla pilotowania Kormorana II? — spytała nagle Janka, by przerwać ciążące milczenie.

— Nie! Dalibóg, ochotników nie brak, ale nie zbytnio mię nęci myśl powierzenia aparatu tej miary pierwszemu lepszemu partaczowi... Ach! gdyby pani była mężczyzną Janko... nie zastanawiałbym się wogóle nad tą sprawą! — szepnął wynalazca z westchnie-[illegible]

W półmroku auta Janka aż podskoczyła [illegible]

— Gdybym była mężczyzną... powierzyłby pan mi Kormorana II? — spytała.

— Bez zastanowienia. Pani posiada wszystko, co trzeba, by go poprowadzić, jeśli nie do ostatecznego zwycięstwa, to przynajmniej na jedno z miejsc czołowych. Ale lecieć dziesięć do dwunastu godzin dziennie nad górami, morzem lub bezludziem... Nie, to byłoby wyzwaniem, rzuconem Panu Bogu! — odparł Klemens, potrząsając głową.

— Czuję się na siłach do podjęcia tych trudów, panie szefie! zawołała Janka, której oczy gorzały najszlachetniejszym płomieniem. I... i... Tak, ja wiem, co należy powiedzieć Piotrowi, by zgodził się na mój pomysł wzięcia udziału w zawodach zamiast niego. — Współzawodnictwo jest poważne i wysiłek będzie wielki. Wiem o tem, a jednak... wiem wszystko, panie szefie, proszę o powierzenie mi Kormorana II ...tak być musi! proszę mi wierzyć... A ja niewątpliwie dotrzymam kroku!

Chwyciła rękę Durand-Gardel'a, ściskając ją gwałtownie, aż wreszcie jej podniecenie udzieliło się również inżynierowi..

— Tak być musi! — powtarzała. — Muszę polecieć zamiast niego, na jego aparacie. Muszę walczyć o jego zwycięstwo. Wówczas dusza jego [illegible] siebie brzemię bólu ...wyzdrowienie nastąpi prędzej ...*bo, walcząc o jego zwycięstwo, wywalczę jednocześnie swoje.* Panie szefie, jeśli pan istot[illegible] mnie zaufanie, jeśli pan istotnie u[illegible] zdolną do zajęcia miejsca wśród czołowych zawodników, proszę o powierzenie mi aparatu, a ja ze swej strony przysięgam, że żaden wysiłek fizyczny nie zdoła mię odstraszyć od... od walki o zwycięstwo, w zastępstwie pańskiego syna.

Widząc zaś, że spogląda na nią w milczeniu, zawołała prawie błagalnie:

— Proszę powiedzieć tak, panie szefie!

Zdumiony, nie spuszczał z niej wzroku.

Przez długą chwilę oboje nie wypowie-[illegible]

Wreszcie Janka podjęła na nowo.

(D. c. n.).

NASZA OKŁADKA

Pośród śnieżnej równiny, na strażnicy K. O. P. stoi żołnierzyk. W zapadającym mroku widzimy jedynie sylwetkę ciemną, o zamazanym konturze. Tylko bagnet na karabinie błyska złowrogo. Żołnierz patrzy w dal czujnie, bo wie, że na jego barkach spoczywa w tej chwili bezpieczeństwo Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wywojował on ją, tę Polskę, własną krwią i własnym trudem, walczył o nią pod Lwowem, Wilnem, Warszawą, przemierzał olbrzymie połacie kraju zmęczonemi stopami, aby wreszcie dziś usłyszeć, po raz 15-ty, że oto Ona jest! Dlatego 11 listopada, jest nietylko Świętem Niepodległości, ale i Świętem Żołnierza Polskiego, który na dalekich granicach Polski czuwa dziś nad Jej i naszem bezpieczeństwem.

Z. M.

PRZED ATAKIEM GAZOWO-LOTNICZYM

Około połowy listopada odbędą się na terenie Warszawy ćwiczenia lotniczo-gazowe. O tem, jak się zachować w czasie tych dwu dni próbnego ataku na stolicę, pouczą ludność specjalne zarządzenia władz. Do zarządzeń tych należy się ściśle stosować, bo ćwiczenia są próbą sprawności czynników, mających bronić stolicę przed *rzeczywistym atakiem,* no i próbą przytomności i dyscypliny mieszkańców, którzy powinni sami dbać o swoje bezpieczeństwo. Niestosowanie się do tych zarządzeń nietylko może nas narazić na koszty, spowodowane pęknięciem szyb i zapłaceniem kary, ale, co jest o wiele ważniejsze, może *zepsuć ćwiczenie.*

Jednem słowem, dwa dni obrony lotniczo-gazowej, to egzamin dla atakujących, atakowanych i broniących. Świat dziewcząt z pewnością zda ten egzamin na piątki. A może znajdzie się czytelniczka, która zechce napisać reportaż z ataku?..

ENCYKLOPEDJA

31) *Akademja.* Wyraz ten ma kilka znaczeń:

a) Wyższa Szkoła, np. Akademja Sztuk Pięknych w Krakowie;

b) Stowarzyszenie uczonych pisarzy, artystów. Np. Akademja Francuska. Polska posiadała doniedawna jedną akademję: Akademję Nauk w Krakowie. W październiku r. 1933 Rada Ministrów powołała w Warszawie Akademję Literatury, złożoną z 15 najwybitniejszych pisarzy i poetów.

c) Uroczyste zebranie. Np. Akademja dla uczczenia rocznicy Niepodległości, Akademja na cześć Marszałka, itd.

32) *Akademik,* wyraz ten oznacza członka Akademji albo słuchacza Wyższej Szkoły. —

33) *Kohorta,* po łacinie *cohors,* oddział wojska rzymskiego, liczący 600 ludzi, 10 kohort stanowiło *legjon,* złożony z 6000 ludzi.

34) *Ornitologja,* wyraz pochodzenia greckiego. Dosłownie: nauka o ptakach.

35) *Video lupum,* dosłownie: widzę wilka. Wyrażenie łacińskie, odpowiednik polskiego: „O wilku mowa, a wilk tuż".

36) *Quid novi?* Dosłownie: cóż nowego? Wyrażenie łacińskie, używane często przy przywitaniu.



NA STRAŻY

15 lat mija od chwili powstania odrodzonego państwa polskiego. Dziś, patrząc wstecz, nie zatrzymujemy się już zbytnio nad tym pierwszym okresem jego powstawania, który w mowie potocznej tak często określamy żartobliwem: „kiedy Polska wybuchła". Był to też wybuch w istocie. Tylko wybuch oczekiwany, wybuch, który przygotowały w pierwszym rzędzie nasze własne siły. I one też podjęły dalej rozpoczęte dzieło odrodzenia państwa. Siły te — to nasza armja. Z początku jej kadra zaledwie, garść młodych zapaleńców w szarych maciejówkach, przyjmowana częstokroć przez wielu z nas nieufnie, bodaj ironicznie, trwająca jednak i walcząca aż do chwili zdobycia, zrealizowania swej prawdy — niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej. Czujna i niezmordowana na swym posterunku przez cały okres jej powstawania stoi na nim i dziś, tak samo czujna, tak samo ofiarna.

Jakże odległym zdaje się ten czas, w którym rozpoczynaliśmy budowę naszego państwa, powołanego do życia orędziem prez. Wilsona i utrwalonego ostatecznie na mocy traktatu wersalskiego.

Jakże trudna i mozolna była ta budowa. Zaledwie powstałe państwo polskie, którego ziemie, dotkliwiej niż inne, stratowały stopy wielkiej wojny, nie oszczędzając żadnego jej zakątka, musiało nietylko leczyć otrzymane w niej rany i jednoczyć swe rozdarte dotąd ziemie, ale jednocześnie zmuszone było stawić czoło siłom, które czyhały zewsząd na jego całość.

Najpierw więc walki wewnętrzne w Małopolsce Wschodniej, rozpętane przez wroga nam propagandę upadającego cesarstwa austrjackiego potem powstanie śląskie, które było żywiołowym odruchem naszej prastarej dzielnicy zachodniej pragnącej złączyć się ze swą Macierzą. Wreszcie Wilno, idące jednomyślnie za samorzutną inicjatywą gen. Żeligowskiego.

A wśród tego wszystkiego nowa wojna, długa i niszczycielska, jaką młoda Rzeczpospolita prowadzić musiała przeciw swemu potężnemu sąsiadowi ze wschodu, broniąc w drugim roku wojny wprost wstępu do bram Warszawy.

W takich to okolicznościach wstępowaliśmy jako nowy członek do grona rodziny narodów europejskich aby odnowić z nimi dawne węzły, zadzierzgnąć nowe i zająć należne nam stanowisko.

Ośrodek Europy powojennej stanowił nowy, powołany orędziem Wilsona do życia twór — Liga Narodów. Weszliśmy do niej od chwili jej powstania.

I tu na terenie Ligi, jak i na wszystkich polach naszej polityki zagranicznej, rysuje się wyraźna, niezmienna linja naszych dążeń, niewzruszalna wola utrzymania pokoju na zasadzie istniejących traktatów.

Ten sam teren Ligi Narodów był dla nas częstokroć forum, na którem ciężko musieliśmy się zmagać z naszym zachodnim sąsiadem, nadużywającym procedury i litery prawa, aby wytaczać przeciwko nam niczem nieuzasadnione pretensje.

Podstawą do tych niesłusznych ingerencyj był w pierwszym rzędzie traktat ochrony mniejszości, podpisany przez nas w pierwszych latach naszego istnienia. To też wystąpiliśmy ostatnio z wnioskiem rozszerzenia tych traktatów na wszystkie państwa, posiadające mniejszości narodowe.

Popierając stale Ligę Narodów, służącą przedewszystkiem stabilizacji i równowadze stosunków europejskich, byliśmy zasadniczo przeciwni wszelkim próbom tworzenia hierarchji mocarstw, któreby miały tendencje narzucania swojej woli pozostałym mniejszym państwom. Dlatego to wypowiedziała się Polska tak stanowczo przeciw powstałemu niedawno paktowi czterech, którego istotnym celem jest supremacja czterech państw — Anglji, Francji, Italii i Niemiec nad resztą Europy.

Tę naszą zdecydowaną postawę okupiliśmy chwilowem oziębieniem stosunków między nami a naszą najstarszą i najważniejszą sojuszniczką — Francją. Na szczęście nie trwało ono długo.

I nietylko, że znikły nad Sekwaną chwilowe niechęci w stosunku do nas, ale nastąpiło jeszcze silniejsze zacieśnienie węzłów z krajem, z którym od czasów naszego odrodzenia pozostawaliśmy w najściślejszych stosunkach i współpracy zarówno na polu politycznem, jak i gospodarczem.

Jednem z wielu doniosłych zagadnień, jakie stają przed obома państwami, może najważniejszem w chwili obecnej jest dążenie do stworzenia drogi tranzytowej, łączącej Gdynię z Morzem Czarnem. Jeśli zaś tylko przypomnimy akt porozumienia Rumuńsko-Sowieckiego, który, dokonując się przy wybitnym współudziale i pośrednictwie Polski, musiał silnie wpłynąć na zwiększenie się wzajemnego zaufania, zrozumiemy, jak mocnemi korzeniami ugruntowana jest trwałość naszej z Rumunią przyjaźni i przymierza.

Z drugiej strony Czechosłowacja, której polityka była niekiedy rozbieżna z polityką Polski, zrozumiała wreszcie, że ziemie nasze łączy wspólny front obronny przeciw zaborczym dążeniom Rzeszy niemieckiej, jednako groźnym obu naszym narodom. Akt oparcia tranzytu czechosłowackiego na Gdyni zamiast na portach niemieckich (w Pradze stało się ostatnio b. popularnem nazywanie Gdyni „portem Czechosłowacji") przyniesie niewątpliwie większe zacieśnienie węzłów przyjaźni i przyspieszy zupełne zbliżenie się obu państw.

Gdy zaś przeniesiemy wzrok na tego naszego wspólnego przeciwnika, to możemy z zadowoleniem zauważyć że ostatnio nawet aktywność niemieckiej propagandy przycichła nieco. Dowodzi to, że Niemcy pojęły wkońcu, że Polska to nie żadne „państwo sezonowe", że należy się z niem bardzo liczyć i nauczyć się doceniać jego nieugiętą wolę nieczynienia nigdy żadnych ustępstw wobec jakichkolwiek dążeń odwetowych.

Poważnemu polepszeniu uległy nasze stosunki z W. M. Gdańskiem, który po wielu gorzkich naukach pojął, że jego interes własny, jego byt, wiąże się ściśle z Polską, która stanowi jego naturalne zaplecze.

Niewątpliwie do zorjentowania się w tej mierze pomogło Gdańskowi wydajnie istnienie Gdyni u jego boku, jej rozrost i rozwój naprawdę imponujący.

Dodajmy przytem, że posiadanie tego groźnego dlań sąsiedztwa, w postaci pierwszorzędnego portu ,jakim jest dzisiejsza Gdynia, zawdzięcza on sam sobie potrosze Musiała bowiem powstać Gdynia, skoro Gdańsk, jak to miało miejsce z odmową wyładowania naszej amunicji w czasie wojny z Sowietami, nie podjął swej roli dziejami określonej i otworzył nam oczy na niebezpieczeństwo, że w krytycznym momencie może nas zawieść.

Obecnie jednak możemy stawiać już różowsze horoskopy przyszłości, tem bardziej wobec zawartych ostatnio układów o zasadniczem znaczeniu.

A gdy zkolei przenosimy wzrok na naszych mniejszych północnych sąsiadów, Łotwę, Estonię i Finlandję, znajdujemy w nich zrozumienie oparcia, jakie daje im pomyślny rozwój stosunków z Polską, a nawet wroga dotychczas postawa Litwy zaczyna jakby zanikać. Miejmy nadzieję, że i ona, ponowiwszy swoje dawne doświadczenie na polu zdradliwości krzyżackich usług i przyjaźni, dojdzie niebawem do zrozumienia konieczności braterstwa naszych dwóch narodów.

A kiedy wreszcie zatrzymujemy się na ostatnim etapie — Rosji Sowieckiej — możemy odetchnąć z ulgą i zadowoleniem, gdyż w tym kierunku nasza polityka zagraniczna uczyniła największy bodaj krok ku pogodnemu, spokojnemu jutru państwa polskiego.

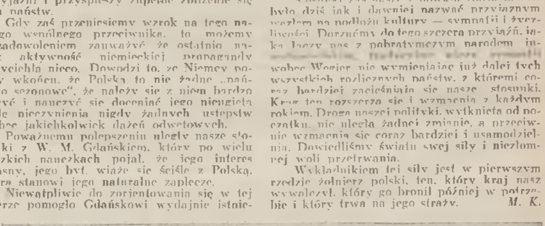
Stosunki między nami a Sowietami od czasów wojny zaledwie poprawne, uległy zasadniczej zmianie. I oto specjalnie ze strony sowieckiej, gdyż rząd sowiecki doszedł do przekonania, że interesy wspólne, jakie między nami istnieją, a które zwiększyły się wydatnie przez oziębienie stosunków sowiecko-niemieckich, pozwalają nam nietylko na zgodne sąsiedzkie współżycie, ale wymagające głębszego porozumienia i przyjaźni między obома narodami. Jesteśmy właśnie w trakcie organizowania się współpracy obu państw, czego najlepszym wyrazem były świeżo podpisane protokóły wschodnie.

Pakt nieagresji — i akt określenia definicji napastnika, to już nie zapewnienia gwarantujące interesy bezpośrednie dwóch państw, ale akt wagi europejskiej, który stanowi jedną z bardzo poważnych gwarancyj pokoju.

Zaznaczyła się również wobec nas pewna ewolucja poglądów w Anglii, gdzie szkodliwa dla nas propaganda niemiecka straciła ostatnio na wadze. Wyrazem zaufania ze strony imperium Brytyjskiego jest świeżo uzyskana w dobie ostrego kryzysu pożyczka angielska dla Polski.

Stosunki zaś nasze z odległą Italją można było dziś jak i dawniej nazwać przyjaznym węzłem na podłożu kultury — sympatji i życzliwości. Dorzućmy do tego szczerą przyjaźń, jaka łączy nas z pobratymczym narodem ju-[illegible] wobec Węgier nie wymieniając już dalej tych wszystkich rozlicznych państw, z któremi coraz bardziej zacieśniają się nasze stosunki. Krąg ten rozszerza się i wzmacnia z każdym rokiem. Droga naszej polityki, wytknięta od początku, nie uległa żadnej zmianie, a przeciwnie wzmacnia się coraz bardziej i usamodzielnia. Dowiedliśmy światu swej siły i niezłomnej woli przetrwania.

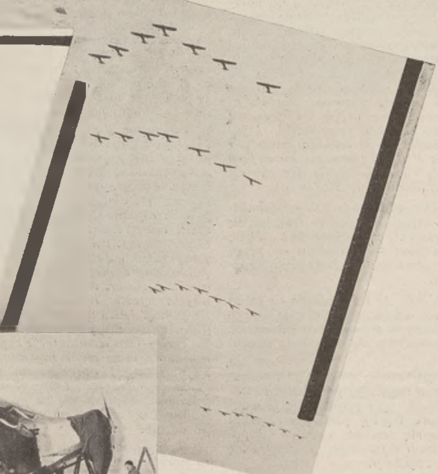
Wykładnikiem tej siły jest w pierwszym rzędzie żołnierz polski, ten, który kraj nasz wywalczył, który go bronił później w potrzebie i który trwa na jego straży. *M. K.*



POLSKIE SKRZYDŁA



U góry i u dołu: samolot pasażerski.
W środku: przylot eskadry polskiej do Rumunji.



Młode lotnictwo polskie już w zaraniu swego istnienia otrzymało gorący chrzest krwi i ognia bojowego. I — kto wie? — może dlatego jest tak dzielne i śmiałe, tak żądne triumfów i pełne żywotności!

Trzynaście zniszczonych, niezupełnych eskadr, jakie posiadaliśmy w roku 1918, w przeciągu lat piętnastu przekształciło się w 6 kompletnych pułków lotniczych, podzielonych na eskadry linjowe myśliwskie, bombardujące i towarzyszące.

Samoloty, wchodzące w skład tych eskadr, od roku 1926 budowane są **wyłącznie** w wytwórniach polskich. Państwowe Zakłady Lotnicze, Fabryka Samolotów w Lublinie, Fabryka „Skoda" i Wytwórnia Samolotów w Białej Podlaskiej wytwarzają **wszystko** co jest potrzebne dla naszego lotnictwa i nawet są w stanie przyjmować zamówienia zagraniczne.



Takie rozbudowanie polskiego przemysłu lotniczego ma dla państwa olbrzymie znaczenie, gdyż uniezależnia nas zupełnie od produkcji obcej!

Równolegle z przemysłem lotniczym rozbudowała Polska szkolnictwo. Przyszli oficerowie lotnicy kształcą się w Centrum Wyszkolenia w Dęblinie, podoficerowie — w Centrum Wyszkolenia w Bydgoszczy. Wyżsi pracownicy techniczni zdobywają wykształcenie fachowe na wydziale lotniczym Politechniki Warszawskiej.

O wartości i poziomie tych szkół mówią najlepiej ich wychowankowie: śp. Idzikowski, Szalas, Żwirko, Wigura, najmłodsi zwycięzcy przestworzy Hynek, Burzyński, Skarzyński, wielokrotny rekordzista, kapitan Orliński, i wielu, wielu innych!

Lotnictwo cywilne jest obok wojskowego jedną z tych dziedzin życia polskiego, z których możemy być bez zastrzeżeń dumni.

Już w roku 1919, po świeżo przebytej wojnie i w przededniu wojny drugiej, brała Polska udział w Międzynarodowej Konferencji Paryskiej, do której przystąpiło 21 państw. W trzy lata później uruchomiliśmy pierwszą prywatną linję lotniczą Gdańsk — Warszawa, przedłużoną następnie do Lwowa, a wkrótce potem — komunikację lotniczą Warszawy z Krakowem, Poznaniem i Łodzią.

W roku 1928 prywatne linje lotnicze uległy przymusowej likwidacji i zamiast nich powstało przedsiębiorstwo państwowo - samorządowe „Lot".

Ten „Lot" tak pięknie rozwinął skrzydła, że dzisiaj mamy nietylko wygodne połączenia samolotowe wewnątrz kraju, ale i obsługujemy linję komunikacyjną, łączącą kraje nadbałtyckie z Rumunją, Bułgarją i Grecją. Ta sama linja łączy Gdynię ze Wschodnią Europą, a przez nią z Azją i Afryką. A że samoloty polskie są wygodne, piloci doświadczeni a komunikacja regularna, „Lot" stał się symbolem bezpieczeństwa i systematyczności.

Terenem, na którym występują społem lotnicy cywilni i wojskowi, jest lotnictwo sportowe. W zawodach i meeting'ach, organizowanych w kraju i zagranicą, obok umundurowanych pilotów biorą udział cywilni i dzielne nasze „latające dziewczęta", o których pisałyśmy w Nr. 21 „Świata Dziewcząt". Rekord śp. Żwirki, zwycięstwa Bajana i Skrzypińskiego, popisy Orlińskiego i Kossowskiego w Cleveland — to przecież kartki z historji polskiego lotnictwa sportowego.

Ale potrafimy latać i na aparatach bezsilnikowych, tak zwanych szybowcach. Posiadamy też we Lwowie Instytut Techniki Szybowcowej, (jedyny, poza Niemcami, w Europie), w Polichnie pod Kielcami Centrum Wyszkolenia Szybowcowego, a w Bezmiechowej i Czerwonym Kamieniu — szybowcowe szkoły terenowe. Nie zdobyliśmy jeszcze coprawda w tej dziedzinie żadnego światowego rekordu, ale na zawodach w Rhon nasi „szybowcowcy" wykazali wysoką klasę wyszkolenia. I, prawdopodobnie, wcześniej czy później, zdobędziemy i rekordy.

Nie, naprawdę możemy być dumni, że Polska sobie takie a nie inne skrzydła przypięła.

h. k. m.

PUŁAPKI

Zdarzają się sytuacje, kiedy najspokojniejszy człowiek ma ochotę zakląć jak dorożkarz (niewiadomo, skąd się wzięło to porównanie, kiedy wszystkie niestety, fachy „brzydkie wyrazy powtarzają po kilka razy"). A to wtedy, kiedy człowiek sam sobie zawdzięcza jakiś pasztet. Pierwszy raz strzeliło mi do głowy to zagadnienie, kiedy po wyjściu z tramwaju podarłam na strzępki i puściłam na wiatr banknot 2-złotowy (były takie jeszcze niedawno), jednocześnie starannie schowawszy do portmonetki zużyty bilet tramwajowy... Milutka sprawa — tem milsza, że nie było komu nawymyślać. Kiedy indziej — znów tramwaj, wehikuł szczególnie rozstrzelający myśli. Zapomniało się od konduktora odebrać resztę z 5-ciu złotych. I jeszcze tramwaj: została w nim książka z czytelni. I jeszcze: przejechało się trzy przystanki. I jeszcze: wsiadło się w całkiem inny podobny jak P do Z (numery kursujące na Powiśle — wyjaśnienie dla czytelniczek z Radomia lub Katowic).

Statystyka wykazuje spis przedmiotów stale zapominanych w tramwaju: torebki, książki, paczki, teczki... Ilość przeciętna jest — ta sama — przedziwna rytmiczność ludzkiego roztargnienia.

Czy wiecie, że rok rocznie ta sama ilość listów zostaje wrzucana do skrzynek pocztowych wogóle bez adresu?... Rzecz, zdawałoby się — nie do pomyślenia.

A kwity lombardowe? Ileż opłakanych gorzko licytacyj pochłania zastawione przedmioty na opłacenie procentów, za które b y ł y pieniądze. I ylko: przegapiło się termin, „gdzieś" zapodział się kwit lombardowy, liczyło się na traf szczęśliwy.

Człowiek jest stworzeniem wiecznie siejącem koło siebie potrzebne przedmioty. Każdy dom rodzinny stacza walki o zapodziane gdzieś ołówki i zapałki. Rozjuszenie złośliwością tych małych przedmiotów zagraża nie jednemu szczęściu. A klucze! klucze! — Przeklęte brząkadła, które raz wraz djabeł nakrywa ogonem, są zwykle nie do odnalezienia, kiedy trzeba coś otworzyć lub zamknąć. Ślusarze śmiejący się w kułak i skwapliwie zgarniający nadprogramowe zarobki, mogliby nam coś o tem powiedzieć. Niemniej sympatyczne są różne świstki z zapisanemi na nich adresami i numerami telefonów. Z torebki taka rzecz powędruje ci do szuflady (niewiadomo której), stamtąd do jakiegoś luzem chadzającego po różnych sprzętach pudełeczka, z którem razem wędruje do kubła ze śmieciami lub wyjęta tkwi przez dwa pokolenia w nieczytanej książce.

Może jeszcze zrobimy wywiad z chusteczką do nosa, zapytując o jej bardzo dziwne przygody. W ciągu roku tuzin stopnieje do jednej z reguły najgorszej i podartej sztuki. Nie wyobrażajmy sobie zresztą na pociechę, że wszystkie zostały wykradzione przez tkliwych amantów. Owszem i taka rzecz zdarzyć się może. Moja ciocia zalewała się łzami pewnego wieczora kiedy spotkała ją taka romantyczna przygoda, pech bowiem chciał że chusteczka była dziurawa, kataralna i nader brudna ponadto. Poczciwy narzeczony darował jej jednak te drobne usterki i po oddaniu w ręce praczki przechowywał aż do ślubu drogą pamiątkę. Czy i po ślubie też? Nie wiem.

Zaiste nikły procent nawet najpiękniejszych koronkowych chusteczek kończy tak pięknie. Większość poprostu zmienia właścicieli wręcz przypadkowo. Przejrzyjcie no „drogie kochaneczki" (tak mawiała do nas w szkole pewna wychowawczyni) wasz asortyment chusteczek. Czyja jest ta z monogramem J. P.? Nikt z naszych znajomych tak się nie nazywa, a nie przypominamy sobie, aby nas gościł niedawno Belweder. W całe, wcale porządny objekt. Jakie licho go tu przyniosło na półkę? A ta wstrętna podarciucha? Jako żywo nie poczuwamy się do niej. Te trzy — no wiadomo. Przyjechały z wakacyj. A tą znów wytwornisią ktoś najwidoczniej obtarł nam łzy... Ale czem wyciśnięte? Dawno umarł ten powód, i zagubił się w pamięci czyn samarytański — a objekt jest: komuż go oddać?

Jakiś kawał złodzieja siedzi nawet w porządnym ale roztargnionym człowieku. Wiedzą coś o tem bibljoteki, rozsyłające listy gończe za książkami, które się popularnie określa jako zaczytane. Za — czytane. Na śmierć. Na amen. Ludzkość w nieznacznym procencie usynawia (dlaczego nie ucórkowuje?) sierotki, ale chętnie adoptuje niewinne a pożyteczne przedmioty.

Gapiowaci a rozmarzeni synowie (córki) Ziemi coraz to wyłamują się z kodeksu praw. Na swoją obronę mają tyle tylko, że obijają również i własne łokcie o ostre kanty. Znacie naprzykład złośliwe kanapony? Pisano o nich w pewnej sympatycznej książce. To taka stwora zamieszkująca kanapy i fotele. Ulubionem jej siedliskiem są meble klubowe. Nie gnieździ się nigdy w drewnianych krzesłach. Kanapon ściąga do swojej kryjówki przeróżne rzeczy. Do ulubionego repertuaru należą nożyczki (jest szczęśliwy, gdy zwabi do ciepłego schronu między poręczą a siedzeniem aż kilka par). Pozatem kocha agrafki i ołówki. Nie pogardzi też pudełkiem zapałek, ani szpulką, ani łyżeczką do kawy. Chociaż znów z łyżeczkami to inna sprawa. Najczęściej emigrują na śmietnik via kubeł z pomyjami i obierkami. Są uśmiechem losu brata — śmieciarza. Cóż. Nic w naturze nie ginie. A że tuzin będzie cokolwiek stratny...

Wracając do kanapona jest on jednocześnie siewcą i radosnych niespodzianek: po iluż tam tygodniach a nieraz latach uszczęśliwiona rodzina wywleka na światło dzienne owe agrafki, nożyczki i spółkę. Wita się to okrzykami radości ale w swoim czasie płaciło się to wszystko nader słono. Wasze wnuczki, czcigodna młodzieży, oczekują w swoim czasie wesołe rewelacje i będą błogosławiły wasze roztargnienie. Ale nie dowiedzą się nigdy, ile zgryzoty sprawił wam ongiś zaginiony pamiątkowy naparstek i klucz od inkrustowanej szkatułki.

Kanapon oddaje z uśmiechm swoje zdobycze, ale dopiero wtedy, gdy utratą ich zgryziemy się porządnie.

Pech chce, że w tej wojnie z przedmiotami inteligencja i wykształcenie nie są żadną skuteczną bronią. Znacie dobrze tego profesora ze starościeckich sztuk i powieści, który damie serca ofiarowywał stary parasol a bukiet róż zostawiał w kącie przedpokoju. Poczciwy pucołowaty uczony Jules Verne'a zwykł był również poszukiwać okularów, siedzących na nosie i czynić przedziwne użytki z kompasu. Nie. Marzyciele i ludzie nazbyt uduchowieni padają na pobojowisku tej walki. Może rozpędzeni, na nic nie baczni szaleńcy, wygrywają?

Ci są również kandydatami na typ ofermy, obijającego boki ze zbytniego pośpiechu. Zwycięża dopiero osobnik energiczny a rozważny.

„Przyszłości narodu" oto coś dla ciebie jak ulał! Drobne codzienne ćwiczenia w wojnie podjazdowej ze złośliwością zarówno drobnych przedmiotów (agrafki) jak pokownych narzędzi komunikacji (Fokker dwunastoosobowy, który odfruwa z przed nosa). Trudniej ci jest niż pradziadowi i pra-pra-prababce. Dyliżans był cierpliwszy i czekał. Dzwonki telefoniczne nie odrywały od roboty. Na imieniny jechało się całym dworem a nie posyłało wizytówki. Przejść przez ulicę zaludnioną przekupniami i stadem wróbli łatwiej było niż lawirować między Lincolnem Tatrą i czterema motocyklami. Dzień był rozkosznie długi, spokojny i pojemny a nie składał się z czasu posiekanego na kwadranse włażące jeden na drugi a drugi na trzeci. Uważaj na zakrętach! Niczem się nie przejmuj! Nie. Przejmuj się jednakże w dostatecznej mierze drobiazgami. I jeszcze jedno. Jeśli ci zginie ołówek — nie złość się i spytaj o niego nietylko lekkomyślne otoczenie, ale i chytrego kanapona. Potarguje się, ale odda. Adresuj listy wrzucane do skrzynki, licz pieniądze, nie spóźniaj się na pociąg, (od czasu do czasu przyjdź też w porę na lekcję lub do biura — to robi dobre wrażenie) i — kładź zawsze zapałki na to samo miejsce.

A teraz wyznajmy sobie przymrużywszy lewe oko, pewną rzecz. To są wszystko symbole, prawda?

Nietylko zapałki. Każda rzecz w życiu musi mieć swoje miejsce — bez siniaczenia łokciem boku sąsiada.

Jeśli zresztą nie dogadaliśmy się, poprzestańmy narazie na tramwaju i zapałkach. To już jest coś.

Wanda Borudzka.

LISTA NAGRODZONYCH z KONKURSU LITERACKIEGO ŚWIATA DZIEWCZĄT

I Nagroda — 2 książki — Halina Adamska, Poznań.

II nagroda — książka — Iwonne Gabaud, Warszawa.

III nagroda — pudełko papieru listowego — Zofja Krzyżanowska, Kutno.

IV nagroda — kwartalna prenumerata Świata Dziewcząt — Janina Jankowska, Borysław.

NA WSI

DOMY LUDOWE, KONKURSY, KOŁA MŁODZIEŻY...







U góry na lewo: karczma [illegible] jarzyn, w owalu: wizyta instruktorki.

U dołu: praca na pólku doświadczalnem, dom ludowy.

Rok 1918 na wsi: brudne zaniedbane chaty, wałęsające się po drogach dzieci, karczma, licho uprawne pola.

Rok 1933: domy ludowe, świetlice, szkoły, organizacje młodzieży, Koła Gospodyń, przysposobienie rolnicze i wojskowe, pola doświadczalne, konkursy hodowlane.

Tylko piętnastu lat niepodległości i dobrej woli potrzeba było na to, żeby spełniło się marzenie Mickiewicza i „książka trafiła pod strzechy". Nie pod wszystkie, tego złudzenia nie mamy. Ale tym, którzy przez te piętnaście lat nad kulturalnem podniesieniem wsi polskiej pracowali, lata te powinny się liczyć podwójnie, jak żołnierzom na wojnie. No, prawdę mówiąc, była to wojna z przesądami, ciemnotą, nieufnością, uporem. Ale wojna na wielu odcinkach — zwycięska.

Zwycięstwo to w pierwszym rzędzie zawdzięczamy organizacjom młodzieży wiejskiej i kołom gospodyń.

Organizacje młodzieży, a jest ich na terenie wsi kilka, prowadzą śród swoich członków pracę oświatowo-kulturalną (domy ludowe, świetlice), propagandę sportów i kultury fizycznej i przysposobienie rolnicze.

Ten ostatni dział powstał w roku 1926 i ma w programie przygotowanie młodzieży do pracy na warsztacie rolnym drogą konkursów.

W tym celu w każdej wsi tworzą się zespoły od 6 do 15 osób, które przeprowadzają jedno zadanie. Np. wyhodowanie wzorowego prosiaka lub cielęcia, wypielęgnowanie pięknych i zdrowych warzyw, urządzenie ogródka kwiatowego przed domem. Każdy, kto się zgłosił do konkursu, obowiązany jest prowadzić dzienniczek, w którym notuje swoje uwagi i postrzeżenia. Na zakończenie konkursów urządza się wystawy, na których uczestnicy dostają dyplomy uznania i nagrody.

Przysposobienie Rolnicze znajduje na wsi coraz więcej zwolenników. W roku 1926 brało udział w konkursach zaledwie 202 chłopców i dziewcząt (35 zespołów), w roku bieżącym — do konkursu zgłosiło się 69 572 osób (8303 zespoły).

Starsi, którzy z początku odnosili się do konkursów nieufnie i niechętnie, teraz patrzą na nie życzliwem okiem i nieraz sami zachęcają do nich córki i synów, dając im jakąś sztukę inwentarza lub kilka czy kilkanaście prętów ziemi pod kwiaty i warzywa.

Obok organizacyj młodzieży duże zasługi przy podniesieniu kultury wsi położyły tak zwane Koła Gospodyń. Pomijając już sprawy czysto gospodarcze i zdrowotne, Koła Gospodyń mają tę olbrzymią zasługę, że potrafiły rozbudzić w swoich członkiniach zainteresowanie dziećmi. Dzięki umiejętnie prowadzonej propagandzie, we wsi, w której istnieje Koło, dziecko z istoty upośledzonej, cenionej mniej od żywego inwentarza, stało się przedmiotem trosk i zabiegów rodzicielskich. Dość powiedzieć, że wiele wsi sprowadza fachowe ochroniarki, a niektóre nawet zorganizowały w tym roku „Święto Dziecka".





Dzięki organizacjom młodzieży, Kołom Gospodyń i Kółkom Rolniczym nikły przed kilkuma jeszcze laty promień oświaty przenika najciemniejsze zakątki.

A najlepszym dowodem tego są Domy Ludowe, powstałe na miejscu szynku i karczmy.

H. K. M.

TEATR

Zawsze Młoda „Zemsta"

Teatr Narodowy wystawił „Zemstę" Fredry ku uczczeniu setnej rocznicy jej narodzin i trzydziestej pracy scenicznej Jurka Leszczyńskiego. Umyślnie piszę Jurka, choć z nim na „ty" nie jestem, bo przecież to ani do uwierzenia, żeby ten najlepszy z komedjowych aktorów tyle już lat ciężkiej pracy scenicznej mógł mieć za sobą. A jednak od Wacława przez Papkina (bo te role grał już Leszczyński) doszedł do Cześnika, którą to rolę wybrał sobie na swój młodociany jubileusz. Trzy role — trzy egzaminy z kunsztu aktorskiego. Nie potrzebuję o tem mówić, że Leszczyński, choć pędziwiatr i lekkoduch, wszystkie te egzaminy ku zdziwieniu zatabaczonych „pedagogów" zdał na piątkę.

Pod tem cudzoziemskiem mianem „sarmata" kryje się oczywiście Polak. Polak szczególnego typu: szlacheckiego. Taki, co to i do szabli i do szklanki. Taki, co gotów i strzelać, i walczyć słowem, i bawić się na umór. Piękny typ, jeśli będzie wzięty w mocne ręce... Wtedy wyrasta z niego często znakomity żołnierz albo mąż stanu.

Cała „Zemsta", to prawdziwe arcydzieło komedjowego humoru, pełna jest sarmatyzmu najczystszej wody, ale, niestety, widzianego od strony negatywnej. Źli i głupi to ludzie ci główni bohaterowie Zemsty — ale jakże nasi, jakże niestety swojscy! Skąpiec Moliere'a jest skąpcem francuskim. Ale rejent Milczek to sługa rodzimego djabła Boruty. To i skąpiec i szachraj czysto polskiej równie dobrze może być Polakiem. Jest to postać międzynarodowa: ten blagier i hultaj, tchórz i spryciarz kręci się wśród nas, jakże często! i zawsze jest potrzebny tępym Cześnikom do pomocy w wykonaniu ich głupich i nie bardzo uczciwych planów...

Klara i Wacław też są wśród nas. Poprostu pełno ich nawet. Mówią może teraz trochę innym językiem, ale przecież par zakochanych nigdy nie zbraknie.

Jednem słowem Zemsta żyje i każda z nas powinna ją w nowej szacie zobaczyć. Nie trzeba się przytem niczego „dopatrywać". Jest to komedja tak śmieszna i tak wyborna, że i bez uczonych komentarzy sama się przed nami obroni i zmusi nas do śmiechu i brawa.



FOT. J. MALARSKI

Taki już ten Leszczyński jest. Zupełnie jak Cześnik, o którym Papkin mówi:

„Rano pierścień, w pół dnia szabla, wieczór kielich".

Z tą małą odmianą, że rankiem pierścień zamienia się w próbę, a wieczorny kielich w puhar scenicznego uniesienia. Co robi Leszczyński „w pół dnia", to należy do jego prywatnego życia. Jak dotąd możemy sądzić, że układ jego życia jest doskonały, bo młody Jerzy Leszczyński może grać i starych i młodych i zawsze zachować dobry ton, wspaniały humor, lekkość, powagę, zrobić „nastrój" albo i umyślnie udać śmieszną postać". Taki już ten sarmata Leszczyński jest.

wody. Tych rejentów Milczków, zdaje się dosyć mamy jeszcze i dzisiaj wśród nas.

Znowu Cześnik to przecież tak dobrze nam znany, tak zwany „niezły człowiek", ale tępy i głupi jak but a przytem łasy na pieniądze... Odważny i zapalczywy, ale przytem sobek, egoista i co tu dużo gadać — dureń. I on niestety żyje jeszcze...

Żyje także Alina — Hanna — Podstolina. Dzisiaj bywa ta dwuznaczna kobieta (wielka przytem dama) bohaterką filmów, romansów kryminalnych albo i kryminalnych procesów...

A Papkin? Kłócono się o to, czy w jego postaci chciał Fredro przedstawić Moskala czy Austrjaka. Kłótnia bezpłodna, Papkin

Oczywiście z jednem zastrzeżeniem: kto nie lubi polskości, kogo pierwsze lepsze, byle obce nazwisko czaruje — ten niech unika sali Teatru Narodowego. Mnie się jednak wydaje, że i milej, i serdeczniej śmiać się można z durniów, szachrajów i blagierów swojskiego wyrobu, niż z takich samych blagierów, durniów i szachrajów cudzoziemskiego autoramentu.

Zemsta jest wiecznie młoda. Dawniej powiedzielibyśmy, że ma rumieńce młodej dziewczyny. Dziś powiemy, że jest jak młoda dziewczyna ślicznie opalona. Wielki naród francuski miał swego Molière'a, wielki naród polski Fredrę.

O tem pamiętajmy. A więc wszyscy na Zemstę! Z. P.

KLISZE WYKONANO W ZAKŁ. FOTO-CHEMIGRAFICZNYCH TOW. WYD. „B L U S Z C Z"

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 12—; półrocznie — zł 7.— kwartalnie — zł. 3 50; miesięcznie — zł. 1 30.

Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy. Szerokość 1 łamu 72 mm. 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorka: Zofja Popławska. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja: Solec 87 tel. 2-44-18 i 5-87-03. Konto P. K. O. Nr. 18.800

Redaktorka przyjmuje we wtorki od 4 do 5, czwartki od g. 5½ do 6½.

Sekretarjat czynny: poniedziałki i środy od g. 14 do 16, piątki i soboty od 10 do 12.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87, Tel. 5-87-03.